

JÓZEF SOLENIK

Nagranie relacji : Janina Wołczuk © ARCHIWUM WSKŁADNIE
Redakcja maszynopisu: Jolanta Juszkiewicz

Józef Solenik ur. we wsi Chociłki, pow. Święciany, woj. Wilno, 5 VI 1929 r. Wojnę jako dziecko przetrwałem w ... /?/, bo to różne bandy i partyzantki były, które obrabiały, rabowały, jeździły, paliły. W czasie wojny potworzyło się tyle band, że nie było wiadomo do kogo jaka banda należała. Pierwsza okupacja. Obok naszej wioski był majątek Nabrzeże, majątek za Piłsudskiego rozparcelowany między osadników. Mieszkali tam sami legionści. I właśnie tam rozegrała się największa tragedia, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Tych ludzi wywożono ... /?/. Widziałem to przez okno, gdyż przez naszą wioskę przechodziła droga, po której szły sanie i podwozy zwożące ludzi z różnych wsi. Nie wiem dokąd ich wywożono. W lutym miała miejsce największa tragedia osadników, później wywieziono nauczycieli, księży, całą inteligencję polską. Chociłki miały swoją parafię w Świrze. Nie wiem, czy ksiądz został w Świrze, czy go wywieźli, nie pamiętam. Jakiś tam księżulek był, ale potem zamknięto ten kościół i zrobiono w nim jakiś warsztat ślusarski. Zamknięto ten kościół już po wojnie, dokładnie nie pamiętam kiedy, gdyż wtedy już byłem na Uralu. Pisali mi krewni, że już kościoła nie mają, że jeżdżą gdzieś do Konstantynowa odl. o 12 km. Mama z siostrą tam jeszcze jeździły. Co z księdzem się stało po zamknięciu kościoła nie mam pojęcia; albo zmarł, albo... Teraz już oddano ten kościół.

Jak znalazłem się na Uralu. Pewnego dnia, a było to w 1944 r., szedłem do swojej ciotki do Szyłapów pomóc w kopaniu ziemniaków. Przejedźzał samochód ciężarowy, na pace było kilka osób. Było to wojsko, strzelcy. Krzyknęli: "Pacan, włącz do samochodu!". Ja się broniłem, ale wsadzili mnie na tę platformę z poleceniem: "Siadaj i nie gadaj nic!". Zawieźli mnie do miasteczka, do Świra, odl. o jakieś 2-3 km, do plebanii. Tam było biuro. Tam coś popisali, popisali... Zabrali mnie tak jak stałem. W nocy zawieźli nas do Postaw, tam był jakiś transport. Nas, tzn. większą grupę ludzi w wieku 20-25 lat. Ja chyba byłem najmłodszy, miałem 15 lat. Wywożono nas pociągiem towarowym. Najgorsze było to, że w wagonie znajdowali się mężczyźni i kobiety. Wagon był podzielony na połowę, po prawej stronie były dziewczęta, po lewej my - chłopaki i mężczyźni. Na środku stał piecyk żelazny, zrobiony z jakiejś rury i to było całe ogrzewanie.

Do Kuszwy w Swierdłowskiej obłasti dojechaliśmy po miesiącu podróży. Było tam półtora metra śniegu i mróz ok. 30°. Najpierw nas zaprowadzili do bani, ostrzygli i zabrali wszystkie nasze ubrania i spalili w piecu. Przez miesiąc przecież nie myliśmy się, nie goli

li, nic więc dziwnego, że chodziły po nas karaluchy. W wagonie jechałem w tym ubraniu, w jakim mnie zatrzymano koło Świącian. W Kuszwy ubrali nas w kufajki i walonki. Wcześniej, w Postawach i Świąrze nie powiedziano nam dokąd i w jakim celu nas wywożą, nikt nie wiedział. Nie pamiętam jak zachowywali się ludzie zatrzymani, było ciemno, wszyscy byli wystraszeni. Ojciec mój spóźnił się / i przed wywózką nie zobaczyłem się z nim/, ale rodzina jakoś się dowiedziała, że mnie złapano, dano znać ojcu. Na naszych terenach panowała wtedy psychoza zastraszenia, gdyż masowo wywozili ludzi. Rodzina moja też była przygotowana do wywózki. Mama nasuszyła w piecu chyba 4 worki sucharów z chleba. I tak przygotowani co noc czekali, aż w nocy zapukają i wywiozą. Ojciec miał 12 ha ziemi, więc był uważany za kułaka. Wtedy wszystkich kolegów ojca powywozili. Z Chociłek też wywozili, Bilewiczów zdaje się wywieźli, innych nazwisk nie pamiętam. To była potworna psychoza!

Później ojciec nie mógł prawdopodobnie już bronić się przed kołchozem, więc poszedł pracować na pocztę. Pocztę gdzieś tam woził do Wiśniowa, 15 km. Podjął się tego, gdy ja już byłem /na Uralu/, chciał się jakoś utrzymać. Miał tam jakiegoś dobrego kacapa, wódkę mu stawiał i w ten sposób jakoś utrzymał kobyłę i swój wózek i do kołchozu go nie zabrali. Ziemi nie mógł uprawiać, wózek jednak utrzymał, a to po prostu dawało szansę przeżycia. Niektórzy z nich nie byli przecież faszystami, wśród nich byli też tacy, którzy w jakiś sposób byli ludzcy. Jeżeli chodzi o rodzinę to miałem 2 siostry i brata. Jedna siostra umarła na zapalenie opon mózgowych. Stało się to po wojnie, gdy ja już byłem w Warszawie. Brat, starszy ode mnie, mieszkał w Wilejce, on w ogóle nie zna języka polskiego. Druga siostra została w Chociłkach, jest mężatką. Ani brat, ani siostra nie przyjechali do Polski, oni już nie mieli nic wspólnego z polskością. Dla nich to była największa tragedia. Gdyby rodzice przyjechali... , ale oni byli już bardzo starzy i bali się jechać. Ludzie bowiem wiedzieli, że pojechaliby na ziemię niemieckie, a wśród nich panowanie przekonanie, że wszystko się jeszcze zmieni, że przyjdą Niemcy i odbiorą wszystko i trzeba będzie uciekać. Na polskie ziemie pojechaliby. Z Chociłek po wojnie powyjeżdżało bardzo dużo ludzi. Zostało tylko 3-4 chałupy, wykupione przez przyjezdnych z Mińska. Zostali starcy, młodzieży nie ma, wyjechała do Wilna albo Mińska. Do Polski też ludzie wyjeżdżali, gdzieś tam są w Olsztyńskiem. We wsi zostało tylko parę osób, w kołchozie wszystko zostało zniszczone, zaniedbane.

Wróćmy do Uralu. Po przywiezieniu do Kuszwy nikt nas nie informował o niczym, nikt o nic nie pytał, wiadomo było, że przywieziono

nas do pracy do kopalni odkrywkowej rudy żelaza. Było tam bardzo bogate złożenie rudy, siły roboczej zaś brakowało, ponieważ wszystko było na froncie. Zastaliśmy tam Azjatów, ale były to karzełki jak Chińczycy czy Japończycy, w dodatku był to bardzo prymitywny naród. Tak więc szukano siły roboczej. My, Europejczycy, byliśmy najmocniej i najlepiej zbudowani. Część polskiej młodzieży tam wymarła, zdarzały się różnego rodzaju wypadki. Z okolic Święcian było tam może ze 20, może więcej osób. Mieszkaliśmy początkowo w baraku, do którego nas wprowadzano i z którego wyprowadzano. Barak nie był ogrodzony, nie było też straży, nie byliśmy tam na prawach więźniów. Tam nie miało się szans gdzieś się ruszyć, uniemożliwiały to potworne mrozy i zaspasy śniegu. Dwóch chłopaków uciekło, ale ich złapali. Pamiętam, kolega uciekł do Czelabińska i tam go złapano w wagonie towarowym i chorego i zmarzniętego przywieziono z powrotem. Drugi dojechał do Ufy i też go przywieziono i chyba zmarł z wycieńczenia. Obaj byli z tej naszej grupy, nie pamiętam jednak jak się nazywali. Później ktoś na żółtaczkę jeszcze zmarł. Dużo ludzi nie wróciło, Białorusinów w ogóle nie puszczali. /Mowa tu o zwolnieniach po wojnie/ Wyjazd do Polski organizowali znajdujący się tam Żydzi polscy; oni byli na wyższym poziomie. Ja się nie orientuję, czy Żydzi też tam byli przymusowo wywiezieni. Oni chyba uciekali tam. Bardzo dużo Żydów wracało z Uralu. Z domu przysłano mi /zaświadczenie?/, że jestem katolikiem. Parafialny dziekan świrski wystawił mi to /świadczenie/, pisane po rosyjsku, i był to mój jedyny dokument, jaki miałem. Więcej nic nie miałem. I to zaświadczenie mnie uratowało, z nim, jako jedynym dokumentem przyjechałem do Polski. Zostało mi na pamiątkę. I karta repatriacyjna. Ojciec bardzo się starał, by mnie stamtąd wydobyć, /argumentował/ że jestem małoletni, że nie nadaję się. Bezskutecznie. Ale jednego chłopaka rodzice wyciągnęli stamtąd. Jakimś sposobem dostał tzw. wyzow, wyjechał do Świra, a ze Świra do Polski. Jego rodzice mieli już chyba załatwioną repatriację. Mój ojciec nie był w stanie niczego takiego załatwić, tak że musiałem kiblować tam do końca. Ze mnie żadnej pociechy tam nie mieli, bo ja byłem prymitywnym chłopakiem wiejskim, nie miałem pojęcia o technice. Żadnej funkcji tam nie dostałem. Chodziłem pracować po 12 czy 16 godzin na dobę, /wyczerpywał mnie/ potworny chłód i głodówka straszna - dostawaliśmy przecież kawałeczek chleba mokrego i to wszystko. Przez pierwsze 3-4 miesiące w Kuszwie braliśmy udział w ogólnym szkoleniu, kursie bhp. Była to równocześnie praktyka, przyuczano nas do obsługiwanie ekskawatorów, koparek, które wydobywały rudę żelaza. Było ich tam 15. Tam nazywano to pracą w ramach FZO. Najgorsza była grupa tzw. borilszczikow, tych, którzy

wiercili otwory w skałach. Ci ludzie wyginęli. Wiertacz w ciągu doby musiał przynieść z 15 -? wiader wody i wlać to do otworu. Maszyna pracowała, mróz -35 -40°. Ludzie ci podmrażali sobie ręce, nogi, uszy. Wyginęli oni z wycieńczenia, gdyż była to mordercza praca. Wybierano do niej najsilniejsze fizycznie osoby. Taki, pamiętam, był kowalem, to go dali do kuźni, gdzie ciężko rąbał młotem. Dostawał za to "dopożycznielnyj talonczik" czy tam 200 g. Za pracę dostawaliśmy minimalną wypłatę - kartę na wyżywienie. To była płachta, z której wycinano w stołówe kilka numerków, za które dostawało się jakąś zupę lub parzoną pszenicę polaną żółtym olejem. To było nie do zjedzenia. Nigdzie nie można było nic kupić, nie było sklepu. Jeśli się poszło na "tołkuczkę", to można było kupić u jakiejś babci siemię, jakiś słonecznik albo jakieś placuszki z ziemniaków i to tylko tyle.

W tym czasie korespondowałem z rodziną. Ojciec raz pieniądze mi przysłał i cały czas starał się mnie wyciągnąć. Nie było ograniczeń w korespondencji. Cała korespondencja była cenzurowana, chyba na poczcie. Ojciec pisał po polsku, ja - po polsku i po rosyjsku. Nie było wymogu, by pisać koniecznie po rosyjsku. Kto jak umiał tak pisał.

Kurs trwał gdzieś do wiosny. Potem włączono mnie do grupy ślusarskiej; była to 5-6-osobowa grupa remontowa, usuwająca różne awarie. Ja byłem w niej pomocnikiem - podaj, przynieś, potrzyмай. Ja w tym wieku nic nie potrafiłem jeszcze robić, przecież nie miałem zawodu... A te 3 miesiące nie dawały zawodu, nie mogłem się nauczyć obsługiwać te amerykańskie ekskawatory. Tam była technika amerykańska, była tylko jedna 11-tka ruska, ale do niczego się nie nadawała; wiecznie stała i wszyscy się śmiali. Panował też straszny terror, nie wolno było opuszczać osiedla /czy dzielnicy/, w którym się mieszkało. Do pracy się szło bez konwoju. Dyscypliny pracy pilnował majster, u niego trzeba było się meldować. Inaczej jeść się nie dostawało. Jeśli by człowiek nie pracował to wykitowałby. Z terenu osiedla można było wyjść, ale to była taka zabita wioska, że żadnych szans /na ucieczkę/ nie było. Dworce były obstawione. Kiedyś byłem tam samochodem z synem i na podstawie mapy stwierdziliśmy, że ze Świerdłowska do Kuszwy tylko jedna droga dochodziła, dróg szosowych nie było. Jedyną drogą ucieczki była więc kolej. Ale w tym czasie, w czasie wojny to człowiek nie patrzył na dworzec w ogóle. Czy sytuacja po wojnie się zmieniła nie pamiętam. Pamiętam tylko, że na koniec wojny dano nam konserwę amerykańskiej tuszonki, tylko tyle pamiętam.

Do repatriacji ja nie miałem żadnych szans powrotu do Polski, gdyby nie ta umowa repatriacyjna nie byłoby rady. Wszyscy Białorusini tam zostali, nikt nie wrócił. O repatriacji dowiedzieliśmy się od Żydów. Ja nie miałem o tym pojęcia. Oni nagłaśniali te sprawy, ogła-

17 szali, że Polską będzie krajem komunistycznym, że działa tam propaganda, że będą kopalnie w Wałbrzychu i na Śląsku. Oni to wszystko wiedzieli, to byli ludzie na innym poziomie. Ja z nimi na co dzień się widywałem. Oni byli kierownikami np. w sklepach szewskich czy innych, żaden z nich fizycznie nie pracował w kopalniach.

18 Jak tam żyliśmy? Po przyjeździe dostałem robocze ubranie - kufajkę i walenki, czapkę-kominiarkę, rękawice i to było wszystko. Ulżyło się Polakom dopiero po podpisaniu umowy polsko-radzieckiej /z udziałem/ Wandy Wasilewskiej. Dopiero wtedy nam pofolgowano, podrzucano paczki Unrra; jakąś koszulinę wtedy, pamiętam, dostałem. To wszystko organizowali Żydzi, myśmy nie mieli nic wspólnego z tym. Działo się to już pod koniec pobytu. Pracowałem tam 16 godz, potem miałem 12 godz . . . wolnego i znów się szło do roboty. W baraku tylko się spało. Nie było żadnej możliwości doksztalcenia się. Nie było żadnych gazet, wisiał "kołchoźnik" na słupie - i to było wszystko. Ja rozumiałem po rosyjsku. Warunki tam były upokarzające . . . ludzie pluli na siebie, a przecież tam byli ludzie dorośli . . ., ale robocizna . . . Azjaci. Na FZO przywozili ludzi w łapciach, mówili oni jakimś niesłowiańskim językiem. Ludzie się bez przerwy wykruszali, więc co rok przywożono nowych i szkolono . Polaków już nie dowozili, była tam tylko jedna grupa. Były też tam dziewczynki; pracowały one przy jakichś lżejszych pracach. Widziałem, że chodziły umorusane. To była tragedia. Gdy dzisiaj to wspominam, to dziwię się jak to wszystko przetrwałem. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek stąd wrócę, że gdzie indziej słońce świeciło, że jest jakieś inne powietrze. Tu , gdy człowiek splunął to zamarzało na ziemi. Człowiek siedział, w piecu palił, z przodu dym szedł, a plecy marzły. Nie wiem, jak człowiek to wszystko wytrzymał. Pasierb, profesor nauk społecznych /uniwersytetu/ też lasy rąbał gdzieś koło Kuszwy i Swierdłowska. Jako dziecko. Kiedyś z grupą dziennikarzy jechaliśmy do Warszawy. Gdzieś pod Piotrkowem coś napomknąłem o Swierdłowsku. 120 On mnie zapytał skąd znam Swierdłowsk. Gdy powiedziałem, że ja tam byłem - wszyscy gęby pootwierali. On tam był na innej zasadzie, gdzieś tam w lasach.

21 Do Polski wracałem z chłopakami. Nazwisk już nie pamiętam. Rozjechali się gdzieś po całym kraju. Część fizycznie i psychicznie nie wytrzymała tej podróży i w Poznańskim zatrudniła się do różnego rodzaju prac u farmerów. Szli do pracy u gospodarzy. Ja twardo, mówię, nic , ja jadę do końca. Po miesiącu pobytu w pociągu dostałem jakiejś choroby skóry. Wszystko mi się łuszczyło, bo to człowiek brudny, nie umyty, nie było co jeść . . . W Polsce nie miałem nikogo, jechałem na ślepo. Do domu bałem się jechać, dostałem bowiem pozwo-

lenie na wyjazd, ale do Polski, nie do domu, nie w swoje strony. Ja przemyciłem te dokumenty, a niektórym na granicy Rosjanie pozabierali wszystkie dokumenty, nic nie zostawili. Wiele ludzi przyjechało nawet bez kart repatriacyjnych, wszystkie ich dokumenty zostały zniszczone.

Wrocław był taki piękny, ^{bogaty} Tyle tu było kwiatów. Był zniszczony, ale dla mnie to była kraina czarów w porównaniu z Kuszwą. Pociąg szedł ogródkami na Psie Pole. Później, po kilku tygodniach, poszedłem do miasta zobaczyć je - to była ruina. Ale w porównaniu z tym, co wcześniej przeżyłem ... Byłem pozytywnie zaskoczony. Życie zacząłem organizować w bardzo prosty sposób. Ja jakoś nie nauczyłem się ani pić ani chuliganic. Żydzi, z którymi przyjechałem załatwili pracę w Pafawagu. Obsługiwałem tam suwnicę. Co 2 tygodnie dostawałem paczkę ~~UNRRA~~ - jedną, drugą, trzecią. Posprzedawałem wszystkie słodycze, kupowałem niemieckie papierosy na pl. Grunwaldzkim. To była radocha ... Zamieszkałem na ul. Świerczewskiego. Znajomi Żydzi powiedzieli mi, że jest tam puste mieszkanie, bo jest wypalona dziura w podłodze. "Przyjdź, naprawisz i będziesz mieszkał."

Były tam łóżka i materace. I tak oto miałem swoje mieszkanie. Pustostanów było wtedy zresztą dużo, ale człowiek był wtedy jeszcze niedojrzały. Przecież gdybym wtedy chciał z Pafawagu dostałbym nawet willę. Ale miałem wtedy 17 lat, w tym wieku człowiek ma jeszcze zielono w głowie.

Pisałem już wtedy do domu. Tam była straszna rozpacz z tego powodu, że ja przyjechałem tutaj. Rodzice myśleli, że ja przyjadę tam i razem pojedziemy do Polski. Ale wtedy wszystko było jeszcze takie niepewne. W Pafawagu pracowałem chyba 8 miesięcy. Miałem wtedy kontakty z bardzo przyjaznymi ludźmi, zarówno z tymi, z którymi przyjechałem z Rosji, jak i z tymi którzy byli tam na zesłaniu, a których poznałem już we Wrocławiu. Byli oni na różnych kierowniczych stanowiskach. Dzięki nim ... zrobiłem prawo jazdy, byłem mechanikiem, po roku poszedłem do pracy do wodociągów jako kierowca-ślusarz, zacząłem jeździć. Najmilej wspominam te czasy, gdy znalazłem się w Polsce, nigdy nie żałowałem, że tu przyjechałem. Rodzice nie przyjechali; byli już starzy - ojciec już nie miał sił, mama też. Ojciec gdy umarł miał chyba 85-86 lat. Mama zmarła chyba w 60-tym roku, ojciec chyba 5 lat później. Do kołchozu się nie zapisał. Skończył pracę na poczcie, konie mu zabrali, wszystko mu zabrali. Ojciec był jednak bardzo obrotny. Był takim terenowym weterynarzem bez dokumentów. Nieźle mu się powodziło: tu podleczył świnkę, tam krówkę czy konika. Podobno doszło do tego, że chciano go wziąć do

ruskiego weterynarza, który byłby weterynarzem urzędowym, a ojciec by mu pomagał. Ambicja nie pozwoliła ojcu zgodzić się na to. No więc dostał 12 rubli emerytury ... i tam trochę, tu trochę... bimbru trochę wypędził i sprzedał ... Listy, które pisałem do domu nie zachowały się, mama każdy z nich nosiła przy sobie tak długo aż się podarł. Wtedy go wyrzucała i brała następny ... i tak zniszczyły się wszystkie. Jeśli chodzi o dokumenty - to zachowałem kartę repatriacyjną i zaświadczenie od dziekana. Zdjęć nie mam, miałem, ale powyrzucałem, były bardzo obrzydliwe. Wyglądałem na nich jak czubaryk; wiadomo jak się tam ubierało, człowiek chudy był. Wspomnienia o trudnej przeszłości napisały córki pani Aliny Koniuszewskiej. To są wrocławianki, mieszkają na ul. Prusa, nazwisk ich nie pamiętam dokładnie. Mam te dane w domu, mogę przekazać je telefonicznie.